

Nie takie gównu straszne, jak je malują

Nauczyliśmy się oddzielać nieprzyjemne. Jesteśmy czyści, pachnący, piękni i sterylni. Nie wypada być brzydkim, nie radzimy sobie z tym co trudne, a śmierć nie istnieje.

Jak daleko odeszliśmy od swojej natury, która łączy to co wzniosłe z tym co przyziemne?

Przeniosłem się na wieś. Po ponad 2 latach życia w rytmie natury, obserwowania jej zaczynam czuć. Czasem smród, czasem zapach lasu i łąki. Jeszcze niedawno wieś miała swojski zapach obornika, dzisiaj wszystko co niepotrzebne jest pozamykane, dobrze jeśli chociaż przetwarzane na biopaliwa. Ale częściej składowane. W olbrzymich zbiornikach. Traktowane jako toksyczny odpad. Małe, rodzinne gospodarstwa powoli znikają. W miejscowości w której mieszkam, w każdym z kilkuset gospodarstw były zwierzęta gospodarskie: krowy, konie, owce, kury. Dzisiaj w całej wsi zostały dwie (!) krowy. A nasi rodzice, dziadkowie rozumieli. Umieeli wszystko wykorzystać. Czy z perspektywy miasta da się jeszcze zobaczyć i zrozumieć, jak potrzebny jest nawóz, żeby urósł życie? Dzisiaj w dużych przemysłowych fermach i fabrykach mleka i mięsa nie odzyskuje się nawozu który odżywia ziemię, tylko wytwarza toksyczną gnojowicę. A nawóz wytwarza się w fabrykach. Zwierzęta stoją całe życie w boksach a ich odchody nie mają szansy wspierać wzrostu roślin tylko gniją.

Wróćmy do gówna. Jest brudne, śmierdzące, nieczyste, wyparte, wstydlive. Czasem dokładnie to co nas spotyka w życiu. Śmierć, konflikty, kryzysy, złe emocje. Nie radzimy sobie z nimi. Bo spychamy i czynimy niewidzialnymi. Składujemy w zniornikach. Nie wydalamy, nie przetwarzamy. A ta kupa rośnie i rośnie, tylko zamiast ją oswoić i stworzyć z niej nawóz, podsypać nowe życie, to się zatruwamy.

A przecież natura od zawsze daje nam instrukcję obsługi. Prosta. Jeśli coś cię uwiera – wyrzuć. Jeśli coś boli – pozwól temu wyjść. Jeśli czegoś jest w tobie za dużo – przetwórz to na coś, co cię nakarmi.

Tylko my, ludzie współczesności, próbujemy zamknąć nasze emocjonalne odchody w zbiornikach, licząc, że może same znikną. One nie znikają. Pracują tam w środku, fermentują. Z czasem zaczynają sączyć się szczelinami: w relacjach, w ciele, w zdrowiu, w bezsensowności, w krzyku na dzieci, w smutku bez powodu.

Na wsi nauczyłem się jednej rzeczy: gnoj jest potrzebny, ale stoi się od niego z daleka tylko wtedy, gdy jest nieprzepracowany. Kiedy wyjedzie na pole i spotka się

z powietrzem, słońcem, deszczem, z czasem staje się pokarmem. Daje życie. Zamienia to, co cuchnie, w to, co karmi.

Dlaczego w życiu miałyby być inaczej?

Konflikt, który zamiatasz pod dywan, nie zniknie. Emocje, których się wstydzisz, nie wyparują, a ból którego nie chcesz poczuć, nie stanie się mniejszy.

Ale kiedy odważysz się otworzyć ten wewnętrzny zbiornik... kiedy spojrzysz na swoje gówno bez udawania, że pachnie inaczej... kiedy w końcu przestaniesz się siebie bać – zaczyna się proces. Taki, jak w ziemi. Cichy, długi, niewidoczny dla oka. I głęboko uzdrawiający.

Bo to, co najtrudniejsze, jest często dokładnie tym, co ma cię nakarmić. Złość uczy cię stawiać granice. Żal przypomina, że potrafisz kochać. Lęk chroni przed nadużyciem. Strata otwiera miejsce na nowe.

I może właśnie dlatego tak bardzo potrzebujemy dziś powrotu do wsi, do ziemi, do prawdziwego życia – żeby przypomnieć sobie, że człowiek także ma w sobie mechanizmy samouzdrawiania. Że nie jesteśmy fabryką odpadów, tylko żywym, pulsującym organizmem, który potrafi zamieniać brud w siłę.

W życiu nie chodzi o to, żeby nigdy nie wdepnąć w gówno. Chodzi o to, żeby nauczyć się z niego robić nawóz. Pod swoje własne, nowe życie.

Jakub Fabirkiewicz